

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 7140·— Mk. z przes. 7400·— Mk. Półrocznie 14800·— Mk. Rocznie 29600·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

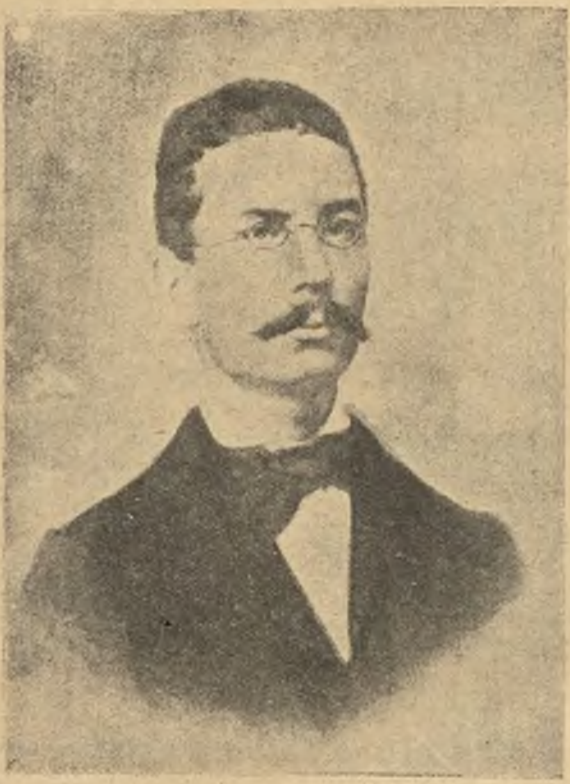
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 600 Marek.**

Rok XX. Kraków, 20 stycznia 1923. Nr. 3.

W 60-tą rocznicę powstania styczniowego



(Rycina do artykułu na stronie drugiej).



W 60-tą rocznicę powstania styczniowego: Dyktator Romuald Traugutt stracony przez Moskali 5. sierpnia 1864.

W 60-tą rocznicę powstania styczniowego.

Rocznica powstania styczniowego pozostanie na zawsze w dziejach narodu polskiego nie tylko drogą sercu każdego Polaka pamiątką, ale wiecznie żywym głosem, który w mrokach niewoli krzepił nas na duchu, a dziś po odzyskaniu niepodległości — w labiryncie swarów i walk partyjnych — winien prowadzić nas ku lepszej przyszłości.

Ziściły się nasze ideały wolnościowe, w imię których walczyli i ginęli powstańcy 63 roku, ale dzieło utrwalenia tej wolności i odbudowania państwa polskiego jest dopiero w zaczątku. Wiemy dobrze, jak ciężkie i trudne to zadanie, jak wielkich wymaga ofiar ze strony całego społeczeństwa. Niestety, wiemy również, że naród polski, upojony radosną chwilą zrzucenia obcego jarzma, zdaje się zapominać, iż wolność, jaką odzyskał, wkłada nań nowe obowiązki, że teraz właśnie nadszedł okres ciężkiej i żmudnej pracy — w zgodzie i jedności — przy kładzeniu fundamentów pod gmach naszej odrodzonej Ojczyzny. Egoizm, brak ofiarności, niesnaski wewnętrzne zatruwają dziś życie narodu bardziej niż za czasów niewoli, gdy rządziła nami obca przemoc. To fakt bolesny, ale, niestety, prawdziwy. To też dziś tem potężniej powinien przemówić do nas głos bohaterów 63 roku. Porwali się oni do nierównej walki z okrutnym najeźdźcą, umierali na szubienicach i w tajgach Sybiru — zapatrzeni w zorzę Niepodległej Polski.

A my? Los pozwolił nam dożyć tej szczęśliwej chwili, odzyskaliśmy skarb niepodległości, okupiony krwią męczenników i winniśmy bronić go i strzedz z taką samą ofiarnością, z jaką tamci potrafili umierać dla Ojczyzny. Rocznica powstania styczniowego niech stanie się przypomnieniem tego wielkiego zaszczytnego obowiązku, jaki przypadł w udziale obecnemu pokoleniu.

Nowy minister skarbu.

Dużą senzacyę w świecie politycznym wywołała wiadomość, że tak trudny i drażliwy w obecnych stosunkach posterunek ministra skarbu obejmuje wybitny działacz nar.-demokratyczny, b. premier Władysław Grabski.

Nowy minister skarbu urodził się w r. 1873 w Borowie. Szkołę średnią ukończył w Warszawie, na dalsze studya wyjechał do Paryża, gdzie ukończył szkołę nauk politycznych w roku 1893. W następnym roku kończy wydział historyczny w Sorbonie. Min. Władysław Grabski jest jednym z założycieli towarzystw milioracyjnych. Wybrany do Dumy państwowej, pracuje w kilku komisyach. W r. 1911 jest referentem komisyi budżetowej w ministeryum rolnictwa. Pozatem pos. Władysław Grabski wydał następujące prace: „Działalność państwowa wobec potrzeb rolniczych Królestwa Polskiego", „Koło polskie a sprawa agrarna", „Koło polskie w drugiej Izbie państwowej rosyjskiej".

Podczas wojny Minister Grabski na emigracyi w Rosyi był jednym z najczynniejszych członków Cen. Kom. Ob. Następnie wyjechał do Paryża, gdzie brał czynny udział w życiu politycznem emigracyi polskiej. W grudniu r. 1919 został ministrem skarbu w gabinecie Skulskiego, a 23-go czerwca 1920 roku prezesem ministrów.



W 60-tą rocznicę powstania styczniowego: Grupa żuawów z r. 63.

Intryga niemiecka.

Niespodziewany napad Litwinów na Kłajpedę i zajęcie tego miasta przez nieregularne oddziały litewskie właśnie w chwili, gdy Francya dokonywa okupacyi zagłębia Ruhr, nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że reżyserami tej awantury są Niemcy. Nie ulega również wątpliwości, że wyprawę zorganizował rząd litewski, choć oficyalnie



W 60-tą rocznicę powstania styczniowego: Członkowie krakowskiego „Przytuliska powstańców z r. 63", z prezesem K. Krzyżanowskim (X).



W 60-tą rocznicę powstania styczniowego: 1) A. Grottger w dobie powstania. 2) Członek Delegacyi warszawskiej po wypadkach lutowych (pięciu poległych 1861. r.). 3) Jenerał Bosak (hr. Józef Hauke) dowódca wojsk powstańczych. 4) Dykt. Maryan Langiewicz dowódca wojsk powstańczych. 5) kapelan oddziału powstańczego.

wypiera się współudziału z akcyą rzekomych „powstańców“ litewskich.

Zdając sobie sprawę z ukrytych sprężyn tej zuchwałej imprezy niemiecko-litewskiej, Koalicya postanowiła działać energicznie. Dowództwo nad sojuszniczemi wojskami w Kłajpedzie powierzono pułkownikowi Troussonowi, członkowi francuskiej misyi wojskowej w Warszawie, który przybył już do Kłajpedy na torpedowcu polskim „Piłsudski“, a z Francyi odjechały już okręty, wiozące dalsze posiłki wojskowe. Niewątpliwie w najbliższych dniach rozegrają się tam doniosłe wypadki, spodziewać się jednak należy, że wojskom francuskim uda się opanować sytuacyę i udaremnić zakusy Niemców, usiłujących rozdmuchać nowy pożar na Wschodzie.



Intryga niemiecka: Widok Kłajpedy.

W walce o zdrowie młodzieży

(W dwudziestolecie humanitarnej działalności „Tow. kolonii wakacyjnych dla uczniów szkół średnich“).

Roku 1903, a więc okrągło lat 20 temu — sięgają pierwsze prace i zabiegi ludzi dobrej woli, zmierzające ku realizacyi u nas w mieście tak humanitarnego hasła: „Ratujmy młodzież“! W tym roku bowiem z inicyatywy b. prof. p. Antoniego Lekszyckiego, obecnie redaktora, zawiązał się komitet, którego głównym celem było wysyłanie na wieś, zwłaszcza do gór, słabowitych, niezamożnych, a pilnych uczniów szkół średnich, potrzebujących wypoczynku wśród długich tygodni wakacyjnych. Komitet ten w niedługim czasie przeistoczył się w „Towarzystwo kolonii wakacyjnych dla uczniów szkół średnich Krakowa i Podgórza“ i dziś po latach 20 swej działalności z dumą, zasłużoną, patrzeć może na owoce i rezultaty nieprzerwanej swej pracy. Nikłe były początki tej nowej u nas akcyi społecznej. Przed laty 20 zdołano zaledwie wysłać 15 uczniów na czas wakacyi do wynajętej kolonii w Czatkowicach i ledwie zabezpieczyć im normalne odżywianie i odpoczynek. Na pożyczanych tapczanach spała wówczas ta młodzież i z pożyczanego inwentarza spożywała pokarmy. Ale skutek pobytu na wsi był widoczny, stan zdrowia uczniów lepszy, ochota do dalszej pracy żwawsza.

Dziś po latach 20 Towarzystwo pochlubić się może monumentalnym budynkiem (według projektu członka Wydz. inż. radcy Z. Nowickiego) kolonii w Porębie Wielkiej, w okolicy Rabki i Mszany Dolnej. Towarzystwo posiada już bogaty inwentarz, na który składa się urządzenie szeregu sal, inwentarz kuchenny, obfita biblioteka i liczne zabawy, a nadto przeszło 2 morgi gruntu, służącego w części na zabawy i sporty. Dziś wreszcie, jak i w szeregu lat ostatnich mogło Towarzystwo wysyłać do swej kolonii po 100 uczniów na pokrzepienie zdrowia, dla odżywiania i dla godziwego wypoczynku. Wielkiemi ofiarami trudów, czasu, poświęcenia i mozolnych wysiłków doprowadzało Towarzystwo rokrocznie zbożne to dzieło do skutku, łagodząc dole tych setek młodocianych dusz, które niejednokrotnie zostawiane w ciągu wakacyi „samym sobie“, wśród spiekoty i stęchłego powietrza w mieście, marniałyby, gdyby ich Towarzystwo nie było wysyłało na ożywcze górskie świeże powietrze, dla



Nowy minister skarbu: B. premier Władysław Grabski



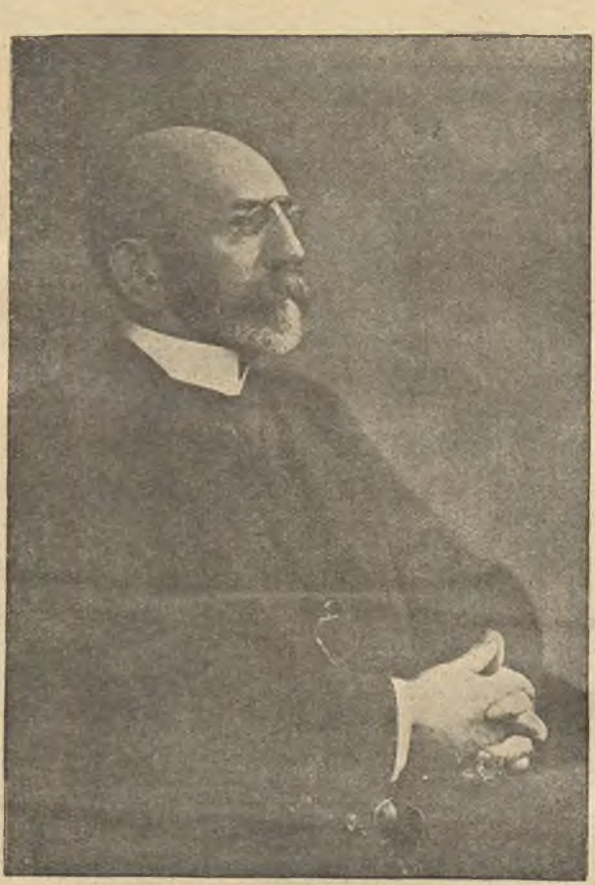
W walce o zdrowie młodzieży: Budynek nowej kolonii w Porębie Wielkiej.

wypoczynku, rozrywek i dostatniego odżywiania, a niejednokrotnie leczenia, które z pełnem zaparciem i poświęceniem dla idei tej spełniał w tych ubiegłych latach zasłużony lekarz kolonii w Mszanie Dolnej, p. dr. Władysław Czapliński.

Dziś po latach 20, kiedy idea kolonii wakacyjnych już szersze zatacza kręgi, kiedy czyny i trudy Towarzystwa zasłużoną cieszą się opinią, godzi się wspomnieć przedewszystkiem tych prezesów „Tow. kolon. wak. dla uczniów szkół średnich", którym przypadło w udziale ostatnią spuściznę pierwszego prezesa Tow. ś. p. dra Henryka Jordana, szczęśliwie rozwijać. Do wysokich naukowych zasług Kazimierza Morawskiego, Prezesa Akad. Umiej., które niebawem uczci naukowy świat



W walce o zdrowie młodzieży: Kolonia wakacyjna uczniów w r. 1922 z kierownikiem prof. Kochem.



W walce o zdrowie młodzieży: Prof. dr. Kazimierz Morawski, długoletni prezes i honorowy członek Tow. kolonii wak. dla uczniów szkół średnich.

polski, dodać trzeba i te, które on posiada jako długoletni prezes Tow. kolon. i honorowy jego członek. Nazwiska następnych prezesów, prof. Un. dra St. Ciechanowskiego i dyr. St. Bednarskiego również w trwałej i wdzięcznej Towarzystwa i społeczeństwa pozostaną pamięci.

Wykonawcą żmudnych zabiegów i prac Wydziału w ciągu tych lat szeregu był prof. Władysław Koch, który jako kierownik kolonii wytrwał na tem mozolnem, lecz wdzięcznem w skutkach pracy dla kolonii stanowisku, lat 13, gdy innych kilku kierowników zrażał trud i mozoły, związane z bardzo odpowiedzialnymi obowiązkami. To też pracą swą kierownik kolonii prof. Koch, a ostatnim razem i gospodyni kolonii p. profesorowa Kochowa zyskali sobie uznanie za trudy u Wydziału Tow., a przywiązanie kolonistów, dla których pobyt w kolonii był i jest zawsze najmilszem wspomnieniem. Przywiązanie kolonistów do porębskiej kolonii rośnie też z każdym rokiem, bo stamtąd wynoszą oni najmilsze i najlepsze przeżycia wśród trosk i kłopotów całorocznego ich życia, zwłaszcza w dobie i latach obecnych.



„Lohengrin" w teatrze lwowskim: Scena z łabędziem. Fot. M. Münz, Lwów.



„Lohengrin" w teatrze lwowskim: Grupa wykonawców głównych ról. Fot. M. Münz, Lwów.



W walce o zdrowie młodzieży: Prof. Karol Stach, obecny prezes Tow. kolonii wakacyjnych.

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

10)

— Ależ oczywiście — pośpieszył z zapewnieniem ksiądz Pegrusse któremu udzieliły się również obawy obojga młodych. — Jest tu, niedaleko dom rodziców Marcina. To zacni i uczciwi ludzie... Tam będziesz noce przepędzał, tu zaś, przyjmiemy cię zawsze z otwartemi rękami.

— Oh! dziękuję, dziękuję — szepnął Armand silnie wzruszony, całując rękę starego księdza — Gościnność ta starczy mi za wszystko... Gdyby ksiądz proboszcz wiedział, ile przecierpieliśmy już z Martą...

— Pracować teraz będziemy wspólnemi siłami na wasze szczęście, mój synu i los wynagrodzi może ten czas ubiegły — odparł poważnie ksiądz Pegrusse. — Jakże głęboko żałuję, że pomimo woli, nie mogłem przez wszystkie te lata czuwać nad naszą Martą.

Po oddaniu jej do zakładu, kilka razy na rok dowiadywałem się o nią troskliwie. Wiadomości odebrane były zawsze dla mnie pocieszające. Na razie zadawalniałem się tem, bo zresztą, czyż mogłem wówczas Martę przypuścić do mojej tajemnicy, skoro dzieckiem była jeszcze. Aż jednego dnia, po dłuższej niebytności w klasztorze, dowiedziałem się, że Marta zaadoptowaną została przez zacną i bogatą panią. Przyszłość więc jej zapewniona została i wówczas to pomyślałem, że lepiej uczynię milcząc i nie niepokojąc jej zwierzeniami które by mogły cień niepokoju i smutku rzucić na młodość jej rozkwitającą zaledwie. Zaufanie, które pokładałem w zacnej pani Vacellier nie zawiodło mnie — Nieprawdaż Marto.

— Oh! nie księże proboszczu, do końca życia wspominać będę z miłością i wdzięcznością kochaną moją opiekunkę — odpowiedziała młoda dziewczyna z przejęciem. Ale księże proboszczu, tak bym chciała usłyszeć coś o nim... o moim bracie dodała spoglądając nieśmiało na księdza Klemensa.

— Oh! jego życie popłynęło spokojnie i prosto choć wiele wycierpiał — ale i też wiele zasług sobie przyspożył.

— Oh! księże proboszczu — przerwał wzruszony ksiądz Klemens.

— Nie, nie — pozwól mi mówić moje dziecko.

— Z początku niepokoił mnie bardzo stan jego. Była chwila, że zwątpiłem już nawet o jego życiu. Cudowi chyba zawdzięczać możemy, że nędzny twój, nadwerężony organizm, oparł się chorobie i silnej gorączce, która cię trawiła długie tygodnie. Zwalczyłeś jednak wszystko, ale kiedy poraz pierwszy spojrzałeś przytomnie, ze zgrozą spostrzegłem, że wszelka pamięć zanikła w tobie... Musieliśmy razem z Małgorzatą poprostu uczyć cię mówić, chodzić, myśleć. Oh! tak, moje dziecko, śmiało mogę powiedzieć, że stałeś się prawdziwem, jedynem mojem dzieckiem. W połowie stałeś się także własnością zacnego księdza Menard, przełożonego seminaryum w Marsylii, który mi cię zabrał jak tylko nabrałeś trochę sił. Tam, w seminaryum wykazałeś nadzwyczajne zdolności do nauk. Charakter twój prawy, energiczny i dumny, zadziwiał wszystkich. Ale, nieprawdaż Klemensie, że w owym czasie pragnąłeś zostać żołnierzem?

— Tak, przyznaję, było to mojem marzeniem. Niestety, dojść do tego nie mogło z powodu osłabienia, które pozostało w twojem ramieniu. Nie mogąc więc stać się żołnierzem, stał się księdzem. Życzyłem sobie, aby mnie w przyszłości zastąpił w tej cichej parafii — ale on wolał niebezpieczeństwa większego poświęcenia i abnegacyi i oto udaje się do dalekich krajów walczyć za naukę Chrystusa.

— Nie wyjadę jednak, mój ojcze, póki...

— Póki żyć będę — dokończył z uśmiechem łagodnym ksiądz Pegrusse. — Tak, obiecałeś mi to... przeszkoda niedługo usunięta zostanie.

— Oh! — zaprzeczył żywo ksiądz Klemens — potrzeba mi wielu lat starania i opieki, abym mógł spłacić ci, mój ojcze mój dług wdzięczności.

— A ja? — zawołała Marta — Czemże się kiedy odwdzięczyć potrafię?

Mówiąc to młoda dziewczyna uklękła przed starcem.

— Pobłogosław nas ojcze — wymówiła wzruszona — i żyj nam jeszcze długie lata.

A kiedy ze czcią przycisnęła do ust wyciągniętą nad jej głową rękę starego proboszcza, zerwała się szybko z kolan i zawołała wesoło:

— A teraz precz ze smutkiem! Chcę widzieć wokoło siebie szczęśliwe i wesołe twarze. Bierzcie wszyscy przykład ze mnie! — i zaśmiała się tak serdecznie, że wszyscy obecni z zachwytem na nią spojrzeli.

— Oh! Marto! — szepnął Armand — jaka ty jesteś dobra i ładna! Będę cię musiał kochać do końca życia.

— Oto przyjemne słowa — nieprawdaż ojcze — zwróciła się Marta do starego księdza.

W tej chwili lekko zapukano do drzwi. Marta pobiegła otworzyć. W drzwiach stanął pan de Lognes. Nieprzyjemne wrażenie ogarnęło wszystkich, rzucając cień niepokoju na rozpromienione przed chwilą twarze.

Ale nie mniej silne wrażenie odbiło się na twarzy pana de Lognes.

Spojrzenie jego jak zahypnotyzowane, biegło niespokojne, pytające od Marty do księdza Klemensa i coraz większe pomięszanie uwidaczniało się w całej jego niesympatycznej postaci.

Trwało to dosyć długo... pan de Lognes pomimo wysiłków, nie mógł słowa wydobyć z zaciśniętego wzruszeniem gardła... Pobladł silnie, jak gdyby miał zemdleć.

— Ah! Ksiądz nie jest sam — wyszeptał w końcu z trudem — proszę mi wybaczyć... powrócę... powrócę jeszcze... Chciałem się tylko dowiedzieć... czy ksiądz odnalazł... zgubę.

— Niestety... nie — odpowiedział ksiądz Klemens.

Zauważył, że spojrzenie pana de Lognes nie mogło się oderwać od twarzy Marty.

I Marta również oczyma badała nowoprzybyłego. Ale jakiś nagły, instynktowny antagonizm błyszczał w tych spojrzeniach, uparcie zwróconych na siebie.

Potęga jednak wzroku młodej dziewczyny, która tak niedawno jeszcze, potrafiła ujarzmiać niebezpieczne instynkta dzikich zwierząt — okazała się i teraz silniejszą.

Wkrótce powieki pana de Lognes trzepotać zaczęły, żyły na skroniach nabrzmiały silnie, oddech stawał się ciężki, świszczący.

W pewnej chwili, nagłym ruchem wyciągnął ręce przed siebie, jak gdyby odepchnąć chciał ciężar jakiś, walący się na niego i bez słowa, prawie bez ukłonu, odwrócił się szybko, ku wyjściu.

— To pan de Lognes? — przerwał milcze nie Armand zdziwionym głosem.

— Tak — odpowiedział ksiądz Pegrusse.

— Administrator zamku Rochegrise?

— Tak.

— To ten, którego ksiądz proboszcz widział nad rzeką, w ową noc znalezienia Marty i Klemensa?

— Tak. To ten, z którym Klemens rozmawiał przy łożu umierającego markiza.

— Złowróżbny ptak nieszczęścia — wymówił młody człowiek.

— Prędzej dzikie zwierzę — wyszeptała Marta, podchodząc do narzeczonego. — Spojrzenie jego jest dzikie i okrutne.

XIII.

Hrabia de Valdeuse przybył na czas na uroczysty obchód pogrzebowy swojego teścia.

Kiedy nareszcie ostatni goście rozjechali się, hrabia znudzony zaczął się zastanawiać, co mu dalej wypada uczynić. Perspektywa pozostania kilku dni przy boku żony, nie uśmiechała mu się bardzo.

Zamyślenie jego przerwał służący, przynoszący codziennie korespondencyę.

— Ah! — żachnął się niecierpliwie hrabia. — Kondolencye funtowe! Że też istnieją jeszcze ludzie, którzy uważają za obowiązek oblewać łzami grób starego markiza!

Jednakże, choć zniechęcony i zdenerwowany, zabrał się do przeglądu listów, usiadłszy w gabinecie swoim przed biurkiem, w wygodnym, głębokim fotelu.

Upłynęło blisko pół godziny. Pan de Valdeusse coraz niecierpliwszą ręką przerzucał stosy telegramów i listów, zredagowanych prawie identycznie. Na pięknej jego, rasowej twarzy, zaznaczył się jeszcze silniej wyraz zmęczenia i nudy. Ale nagle twarz jego ożywiła się, z oczu trysnął gorący blask. Rozwarty telegram zadrżał w jego ręce. Było to to, na co z niepokojem oczekiwał.

Telegram brzmiał lakonicznie:

— „Jesteśmy w Besancon — R. H.".

Lord Haley dotrzymał więc przyrzeczenia.

Brwi pana de Valdeuse ściągnęły się nerwowo.

— Ah! gdybym był wolnym! — zawołał namiętnie, rzucając telegram na biurko.

Ale po chwili już zdążył się opanować i rozumować zaczął już spokojniej.

— No i cóż zresztą bym uczynił, będąc wolnym? Nie mógłym przecież przyłączyć się do detektywów Randolfa, aby śledzić tę dziewczynę. Muszę być cierpliwym i czekać. — Czekać? tu, w Rochegrise? to niemożliwe! Musiałbym oszaleć! A więc najlepiej uczynię, jadąc do Paryża! Tam przeczekam łatwiej i zagłuszę ten wewnętrzny niepokój. Tak! rzecz postanowiona. Dziś jeszcze wyjeżdżam.

Zadowolony z siebie pan de Valdeusse wielkimi krokami zaczął chodzić po gabinecie, snując najróżnorodniejsze plany na przyszłość.

Zapukano do drzwi.

— Któż tam u dyabła! — zdziwił się niemile. — Proszę wejść!

Drzwi otworzyły się szybko i ku zdumieniu hrabiego do gabinetu weszła jego żona.

Z uprzejmym uśmiechem pośpieszył ku niej.

— Jakto? to ty, moja droga!

— Chcę cię prosić o chwilę rozmowy.

— Tutaj? powietrze jest przesycone zapachem papierosów.

— Oh! nic nie szkodzi. Bardzo lubię taką atmosferę — uśmiechnęła się wdzięcznie.

Hrabina Julia była bardzo piękną kobietą. Olbrzymie złote włosy tworzyły wspaniałą oprawę dla regularnych, rzeźbionych jej rysów. Nieskazitelne linie ciała, wykutego jak gdyby z marmuru, uwydatniał jeszcze wytworny, a prosty krój domowej sukni.

Hrabina Julia miała obecnie lat trzydzieści cztery i była w pełnym rozkwicie swojej doskonałej urody.

Ale już w drugim roku po ślubie, fatalna, nieprzewidziana rozłąka i oziębienie stosunków zaznaczyły się pomiędzy młodem małżeństwem. Charaktery ich, zasadniczo różne, nie mogły wytworzyć potrzebnej do współżycia harmonii. Pozostając pod jednym dachem, byli sobie zupełnie obcy i obojętni, chociaż w świecie pokazywali się zawsze razem i nikt z ich zachowania nie odgadłby ich wzajemnego, przykrego stosunku. W tych więc warunkach zjawienie się hrabiny w gabinecie męża było rzeczą nadzwyczajną.

— Ho! ho! — szepnął do siebie pan de Valdeuse. — Co to ma znaczyć! Żeby tylko znowu nie jaka nowa nieprzyjemność!

Ucałował jednak uprzejmie rękę żony i spojrzawszy na nią, nie mógł się powstrzymać od rzucenia jej, tym razem szczerego komplementu.

— Jesteś wyjątkowo dziś uroczą, Julio.

Bo wytrawny wzrok hrabiego umiał i w żonie swojej dostrzec doskonałość jej pięknych rysów i uroku.

Młoda kobieta zbyła komplement uśmiechem i siadając na podsuniętym jej fotelu, wymówiła swobodnym, spokojnym głosem:

Obecność moja tutaj zadziwia cię, nieprawdaż... po tylu latach nieporozumienia... ale zastanawiałam się dosyć długo nad naszym wzajemnym stosunkiem i dzisiaj nie jestem już, dzięki Bogu, tą dawną, głupią, upartą dziewczyną.

— Ależ hrabino, nie pozwolę, abyś się w tem świetle ukazywała przedemną — przerwał z grzecznym uśmiechem pan de Valdeuse.

— Pozwól, mój kochany, nie bawmy się w czcze słowa, a przedewszystkiem brońmy się przed ostatecznością. Pozostańmy w pośrodku... dobrze?

— Ależ i owszem... tylko nie pojmuję zupełnie słów twoich...

— Zaraz je zrozumiesz. Zdaje mi się, że te siedmnaście lat, które przeżyliśmy obok siebie, dostatecznie wpłynęły na wytępienie z charakterów naszych młodzieńczych iluzyi i naiwności. Dziś jesteśmy starsi, doświadczeńsi i...

— Ah! Boże! Siedmnaście lat — czy być może! — zawołał ze zdumieniem hrabia.

— Tak, tak, czas przypomnieć sobie, że już młodzi nie jesteśmy.

— Oh! Julio! czy to konieczne? Dlaczego jesteś tak bezwzględna?

(Ciąg dalszy nastąpi).

PAWEŁ STAŚKO.

IDYLLA

Coś w piersiach Janki topniało z dnia na dzień i nachodziło słodkiemi łzami.

Nie był to ból, ni żadna fizyczna dolegliwość, nawet jasno określona tęsknota, zaczem bowiem albo-li za kim mogła dziś tęsknić ona, sierota, nauczycielka skazana na wygnanie w górskiej wioszczynie, odgrodzona od świata, niemal od ludzi, pędząca żywot cichy i smutny pośród niemytych i nieuczesanych wiejskich dzieci i wśród tuzina książek, które przywiozła w koszu na początek swej karyery?

Chyba za uściskami ledwie zapamiętałej matki, za wspomnieniami pierwszych dziewczęcych chwil, wszak bo późniejsze były już bez uroku, bez podnet i jasności, były chwilami uczennicy zarabiającej na utrzymanie lekcyami, a nocą pracującej nad sobą.

Tęskniła może wreszcie w tem zapadłem ustroniu za rojnem miastem, pełnem nowości i rozrywek, za ludźmi co płynęli przez place i ulice, jak barwny potok, wiecznie wezbrany i rnęcący, swobodny i śmiejący, zawsze spowity jakąś narkozą mocną i mimowoli odurzającą.

Wprawdzie chwilami unosiła się dusza Janki kędyś w daleki świat, w błyszczące i gwarne miasta, wpadały jej w źrenice strzępy magicznych wizyj, aliści to, co się teraz wzniecało w piersiach dziwnym płomieniem — było czemś innem, bardziej rozwianem i nieuchwytnem, jak gdyby falą jakąś błogą, jak gdyby tchnieniem wioną cem na nią z niebios i słońca i z gór i zewsząd.

Cała była w tej tajemniczej zjawie, tonęła w niej jak w morzu, czując zarazem, że środkiem onej władzy emanującej w wszystkie strony — jest jej rozdrżałe serce.

Zaledwie kilka dni jak weszła w tę cudną łazę myśli i uczuć, a już widziała się owładniętą jej balsamicznym czarem, spoiła tianami rozkosznych dreszczów, niby ramiony niewidzialnego oblubieńca i, mimo bojaźni osamotnionego dziewczęcia, mimo niewiary w świat, której uczyło ją sierocrwo, czuła — że kocha.

Bóstwem miłości jej był jeszcze koszmar, złuda męzkiej postaci, ktoś nieokreślony i fantastyczny, urojony z majaków bezsennych nocy, niby królewicz z bajki, ktoś atomiczny, rozpłoszony w powietrzu, w słońcu i kwiatach marzeń.

Dotychczas spało jej serce — i tam wśród pokus miasta, i tu przez pierwsze długie miesiące wiejskiej samoty, aż oto wiosna, ta pierwsza wiosna na wsi przeżyta, wśród gór i słońca, w całej swej pełni, ta wiosna ją ocknęła i nakazała kochać — naprzód ten urok majestatycznej przyrody, a potem sny marzennych nocy, ucieleśniające się coraz bardziej, coraz jej bliższe i jakby żywe.

Lecz z biegiem dni te złudy poczęły ją przerażać, roznieciały bowiem światy miłosnych pragnień, nie dając nic, prócz chyba większego głodu i coraz otchłanniejszych tęsknot.

Rycerz wyśniony nie przybywał, zawisł kędyś w powietrzu, zmieniając w mękę jej słodkie oczekiwanie. Wreszcie straciła wiarę w jego przyjście. Uczuła się teraz samotną, wprost do rozpaczy, jak nigdy dotąd. Poznała, że to już losem jej i że na tem wygnaniu przetęskni bezowocnie całe swe życie. Że tu już jest jej dom, kajdany życia, a potem grób. Wszak tu, albo gdziekolwiek, niema dla niej innego schronu, wszędzie musi być sama, obca dla ludzi i ludzie dla niej obcy.

Kochała teraz cały świat, swoją samotność, mękę i przeznaczenie — kochała sama nie wiedząc czemu, przez łzy, przez własną rozpacz — czuła konieczność tej miłości, ogromny nakaz wśród tych cichych wieczorów i czarodziejskich nocy, a ją za tę olbrzymią miłość kochał nie rycerz z snów, nie ten kochanek wymarzony, ale... góralczyk — Jędrek.

I więcej nikt, nikt, jak tylko Jędrek... Prawda, junak, jak górski orzeł, gibki jak smrek, o oczach raz jak z ogni, to zasię cichych i modrych jak bławaty, głębokich jak lazurowa toń jeziora, z których płynęła prosta, bezdenna, niewyszukana miłość ku tej „panience z miasta", podobnej zorzy, Jance...

Jędrek ją tylko kochał w całym świecie, do nampięci, kochał jak świętą z kościelnego obrazka, on prostak, Jędrek, syn gospodyni Janki, zwyczajny góral, ale niezwykły grajek...

Janka czytała z ócz chłopaka miłość i uwielbienie bezgraniczne i... darzyła go niekiedy chwilą rozmowy. To jej starczyło by się zabawić jego sercem, widzieć jak wichry jego oczu topnieją przy niej, jak pokornieje i zamilka, staje się cichy i nieśmiały i tylko w nią spogląda jak na tęczę, jak tłumi oddech i jak źrenice jego grają blaskami wielkich, ledwo wstrzymanych uczuć.

Chwile takie trwały dosyć często, jako jedyna rozrywka i urozmaicenie samotności Janki. Było jej lżej na sercu i weselej, że przecież ktoś ją kocha i że ktoś myśli o niej. Wprawdzie traktowała tę miłość jako zabawę, lekko, chociaż czasami i żal jej było Jędrka. On jeden wszakżeż modlił się do niej oczyma, rzucał kryjomo kwiaty przez okno, grywał na przyzbie dla niej jedynie, wiedziała również, że gdyby słowo rzekła — wszystkoby dlań uczynił, on jeden mściłby jej krzywdy, nie ważąc nawet życia, bardziej jak brat, on jeden tylko.

I były chwile takie, iż żałowała dlaczego on prostakiem, w kierpcach i gunl... Pałała wprawdzie w jego twarzy uroda, świeża, twarda jak krzemień, ostra jak zapach świerkowego lasu, rwąca jak skalny potok, lecz nie ta wygładzona „kulturą", oszlifowana miastem, giętka jak wąż, łasząca, rafinowanie strojna, jaka się Jance śniła... Jego było czuć cuchą, a gdyby, gdyby nawet i nie to, to był góralem, chłopem, nie dla niej.

Jednakże wolno, wolniutko, im głębiej tonęła w samotności, im bardziej oswajała się z swoim losem, różnice te zaczynały się zacierać, ginąć w przepaści, tak, że zabawa Janki przybrała nieco inny charakter, mniej płochy i nieszczery, poważniejszy.

Polubiła Jędrka za jego miłość, usłużność, za to, że był dla niej imaginacyjną obroną, bezbrzeżnie dobry, że wyczuwał jej smutek i starał się go rozwiać, mali mieszkanie w girlandy z limby i kwiatów — byle tylko było jej milej i weselej, byle dojrzeć w niej uśmiech zadowolenia i zapomnienie — że jest samą.

Może w uczuciu Janki tlała iskra miłości, mała, ukryta, lecz nie wiedziała o niej. Lubiła Jędrka tak jako brata, może inaczej trochę, może goręcej, pragnąc zarazem, aby i on tem jej odpłacał, tem tylko. Jednakże serce Jędrka było stokroć hojniejsze, miłość zalała je jak morze, urzekła i podbiła i nauczyła kochać w skrytości, obiec się w tajemnice, że tylko oczy, jak niepostuszne posły, zdradzały ogrom pożarnych uczuć, bo usta bały się wyrzec słowa do tej królewny jasnej, pięknej jak najcudniejszy kwiat, o rączkach białych i delikatnych i oczach słodkich jak samo niebo.

Chwilami czuła szczęście na widok tej miłości zakutej w dyby onieśmielenia i jakowegoś lęku, to znów żal ją porywał, bo boleść wielka, żywcem duszona, miotała nim jak halny wicher.

Kochał i czuł się wprost niegodnym — by jej to zwierzyć. Truchlał na samą myśl, że ona śmiałość mogłaby ją wypłoszyć, że możeby uciekła.

Janka widziała jego walkę, współczuła z nim i zarazem stawała się dla Jędrka coraz to lepsza i mniej poważna, więcej rozmowna, trochę z litości, trochę ze sercą, wreszcie nie mogło być inaczej.

Na przedwczorajszy żart — że przenoszą ją na posadę do miasta, w Jędrka jakby piorun ugodził. Oblał się nagle śmiertelną bladością, rozdrżał i niemal mowę stracił. Kiedy odzyskał strwożone myśli, wyrzekł jednym twardym oddechem:

— Nie damy was, panienko!

— Jakżeż, gdy władza tak zarządza?

— My także władza, chociaż górale! Wprzódzi spalimy szkołę, ale nie damy! — dyszał, gotów naprawdę do ostatecznych przeszkód. I jął snuć prędkie plany, groźne, potworne nawet, coby ją zostawiły nienaruszoną. Nie przypuszczała, że tyle w nim srogości, hardej, mocnej natury, gdyby ktoś zechciał czynić wbrew jego woli i ją naruszyć. W jego mniemaniu ona tu była gwiazdą i tu jej wieczne miejsce, do którego nikt nie miał prawa i przystępu.

Pierwszy raz Jędrek zaimponował Jance w większym stylu. Doznała przytem niebywałej radości — iż nie jest tak strasznie sama, osierocona, że jest ktoś przy niej, na kogo może liczyć, że nie zawiedzie nigdy.

I znów stał się jej bliższy, przez łzy radości zdała się już nie widzieć kierbców na jego smukłych nogach i głębiej wnikać w jego oddaną miłość.

Nie dał się prędko uspokoić, jakgdyby nie dowierzał jej odwołaniu. Wreszcie uwierzył swej królewnie i znów jak zawsze spojrzał na nią, tonami rozmiłowanych źr nic, że stokroć większem szczęściem, iż wprost pojąć nie mogła, skąd w tym górskim młodzieńcu znalazło się tyle uczucia i idealnej mocy.

Tego wieczora grał jej Jędrek pod oknem tak czule i zachwytnie, jak jeszcze może nigdy. Zdawało się, że czar miłości napełnił skrzypce i struny porwał wielki, nieutulony szloch szczęścia i radości.

Janka, jak z trudem pojmowała wielkość jego uczucia, tak znowu gra wtrącała ją w zdumienie.

Mówili o nim wszyscy, że „złego" ma w skrzypicach i dur na ludzi idzie od jego grania, ale i mieli widać słuszność. Bo kiedy Jędrek ujął skrzypki, a zagrał, to przemówiły niczem człowiek, jakąś anielska chyba mową, do jądra serca i łez kryjomych.

Przedtem na swoich skrzypcach grywał inaczej, dopiero gdy zamieszkała u nich „pani", gdy zezwoliła swoich skrzypiec, „Bóg wie jakiej roboty i co w nich beło", wtenczas z pod palców Jędrka poczęły płynąć czary. Legenda rosła o tych skrzypcach i nikt nie wiedział, że Jędrka miłość grać uczyła, a sny po nocach na skrzydłach tęsknot znosiły mu zaklęte czary tonów.

Jedyna chyba Janka poznała oną tajemnicę, gdyż artyzm Jędrka rósł w jej zdumionych oczach pospołu z jego wejrzeniami, najbardziej zaś widocznie — kiedy go sama poprosiła o zagranie.

I wtenczas Jędrek nie widział świata i nic naokół, zatonął w sobie nieprzytomny, cały przeistoczony w struny i powódź złotych głosów, do ostatniego nerwu przejęty władzą uczuć, iż sam nie wiedział — czy gra, na skrzypcach, czy ciągnie smyczkiem po swojem własnem sercu.

Czasem tylko, gdy kończył pieśń, lub kiedy struny rozkaty się do najwnikliwszych wibrów, podnosił na Jankę oczy ciche, rozmiłowane do zenitu, przymglone szczęściem, z których płynęły słowa zachwytnej duszy, niedościgłe w wymowie, słowa z cudów uwite:

— To serce moje tobie śpiewa, królewno...

Usta się rwały do okrzyku, do próśb i zwierzeń, ale je dławił rozpaczliwie. Oczom tylko poradzić nie mógł, na nie zabrakło mu sposobu.

I zasię dzisiaj, jak przez tyle wieczorów, przez całą niemal wiosnę, w ciepły niedzielny wieczór — grał Jance. Siedział pod limbą za zagrodą, kędy łąka stykała się z reglami i z namaszczeniem niezwyczajnem, jakby wypełniał jakiś świątynny obrzęd — wodził smyczkiem po rozśpiewanych strunach z taką lubością przetroskliwą, z takiem oddaniem i czułością, jak gdyby pragnął świat cały zaczarować i skraść mu skarby swoich największych tęsknot.

Od kilku dni wzbierała już w nim fala dziwna, ogromna, że miejsca sobie znaleźć nie mógł. Nigdy miłość nie rozgorzała w nim do tego stopnia, nigdy nie ogarnęło go tyle tajemniczych szepów i złud, przywidzeń jakichś, co teraz właśnie.

I oto dzisiaj w ten ciepły, prawie gorący wieczór, pełen niewymownych uroków, ciszy i czarodziejskich zmierzchów — usiadł pod limbą i jął grać hymny niepojęte, niezasłyszane nigdy pieśni, nokturny i słodkie kantyleny — tak, jak mu szeptała dusza, jak niosło je uczucie — raz, jakby z łez, ze smutku, to znów jak z jęków tęsknot i upragnień, z radości i nadziei — — grał pełnią serca, nieświadom zmysłów, wyrwany z rzeczywistości — — wygrywał dzieje swego wnętrza i ból i szczęście, jakieś orędzia i gorączkowe majaczenia — dopóki siły zeń nie uszły, nie opadły znużone ręce i nie uwiędły nerwy.

Wiedy głowa spadała mu na piersi, przymykał oczy i trwał tak długą chwilę oszołomiony, wśród innych światów, jak w lunatycznym śnie, a gdy odzyskał władzę i zebrał myśli — ujmował znowu skrzypce w ręce, jakby nie skończył jeszcze pieśni, nie wyśpiewał natchnienia, lub jakby ulgi szukał upragnionej.

Jedno, jedyne tylko wiedział, że się rozkochał do obłędu i że go słucha ona...

Że tam w altanie, jaką w początku wiosny jej zbudował, siedzi jak zwykle o tej porze, smutna i zamyślona i pije razem z rosą jego miłosne granie.

Zdawało mu się teraz królewną z zaklętego zamku, którą mocarne duchy strzegą... Tak, jak

prawili w klechdach starzy ludzie... Że siedm wężów jest u bramy, które ani ciupagą zabić, ani głazem przywalić, gdyż śmierć się ich nie ima... A pono są sposoby i na te gady i na duchy... Zaklęcia jakieś, kwiat świętojański — i byli tacy co szli po skarby i królewnę, ginęli mnogo, aż jeden doszedł...

Ciarki przeszły po ciele Jędrka. Wspominały się mu urywki baśni i oczy zwracał ku altanie, jakby naprawdę była zamkiem, a ona w nim królewną. Ani ją węże strzegły, a przecież jakże mu się zdawała niedosiężną!

Wolałby iść na oręż, uwalniać ją z zaklęctwa, nie bacząc co los zeszle, walczyć na śmierć i życie, lecz byle o nią, byle ta zdobycz była jego.

A tu — ot sama była, w kruchej altance, że ino wpaść tam raźno, porwać w ramiona i wziąć na własne...

A jednak, jakżeż to trudne było, nie do spełnienia! Nikt jej w pomoc nie przyjdzie, może nie krzyknie nawet, sama wpadnie w objęcia, a przecież...

Czuł, żeby kroku nie uczynił, żeby skamieniał nim-by ruszył.

I znowu podniósł swoje powierne skrzypki, aby w nie wetchnąć niemoc i rozczulone serce.

On — junak, co się na turnie drapał niebotyczne gniazda sokole wypatrując, co lotem kozic pędził przez głazy i błyskawicą zjeżdżał piarżystym żlebem - tu czuł się trwożny niczem dziecko, tu tchu mu brakowało...

Słodkie, pieściwe głosy skrzypiec płynęły smętnie poprzez łąkę, wnikały w regle, niżały się na limbowe igliwne wachlarzyki i szły obłocznem pieniem w nawę pachnącego wieczoru, niby rozdrgane pieśnią dymy w to święto iszczącej cuda wiosny.

Zmierzchliwy wieczór, jak strofa z strofą łączył się z nocą. Stopniał niewiedzieć kiedy w ciemne błękity, lotne, zawieszone nad ziemią baśniową przędzą.

Zmilkły jędrkowe skrzypki utulone kołysanką, do łez ostatnich wypłakane i snem zmorzone. Zaległa cisza wielka, tylko smreczyna regli zdała się jeszcze pieścić echami pieśni i łączyć z cichutkim szumem odległych górskich potoków.

Kiedy ucichły struny, marzenia Janki jakby stulitły skrzydła pod umęczoną głowę. Zaciężyła jej cisza, dech wypierając z piersi i rozpraszając w cudowne wianki splecione myśli.

Aliści trwało to tylko krótką chwilę, bo znów ten szum cichutki przemówił do niej słodkim szeptem i jął kołysać ją nanowo.

I znów jak przedtem weszła w tęczowe światy rojeń, w jakieś świątynie kryształowe w których, prócz licznych paziów i urodziwych bożków — był i on Jędrek, smukły, w kierpcach na nogach, w obcisłych, wyszywanych portkach, z gunią białą przez plecy, jak ze skrzydłami i w kapeluszu małym na hardej głowie, z sznurkiem morskich muszelek...

Nie ustępował miejsca drugim, owszem, wyglądał teraz niby orzeł, zrywający się do podsłonecznych lotów.

Patrzała nań z lubością, taki był jakiś inny, piękniejszy, jakby z porannej rosy i zorzy.

Niedługo, a wreszcie sam pozostał w tej niepojęcie dziwnej leśnej świątyni - i ona, pod arkadami zwisających ku ziemi kwiatów, paproci i nienazwanej zieleni.

Dostrzegł ją w onych gąszczach, dobył skrzypki z pod guni i szedł tak ku niej pełen nimbu, szczęśliwy, utęskniony, jak żywa harfa.

Jeszcze rozdzielało ich kilka kroków, dwa — jeden...

Jędrek przyklęka i składa skrzypki na szmaragdowym mchu.

Składa jak serce swoje własne, jak dań pokorną, jak bezgraniczną miłość.

I nic nie mówiąc, z ekstazą w oczach, zwala się do jej nóg, w jakimś błagalnym szlochu, w którym roz kał się cały, z całym ogromem tęsknot, z gorączką wszystkich nocy, wszystkich zachwytów i uwielbień...

Drgnęła...

Jakby dłoń czyjaś ją dotknęła i wzięła w uścisk serce.

Gdzieś majaczenie się rozwiało, jak bańka prysły złudy.

— Czemu tak długo nie gra? — ozwał się szept jej ust, nagły, jak w przebudzeniu. — Ani do chaty wrócił, gdzie się zapodział?

Długie milczenie zdziwiło ją, niezrozumiale, naglące.

Nigdy jej o to nie szło, nie szukała przyczyny, jak teraz właśnie.

— Może... — bała się myśleć.

Lecz myśl wróciła.

— ...może dziewczynę jaką przywiódł czarem swych skrzypiec..

— To być nie może... jednak mnie kocha... Jędrek nie zdradzi...

Nasłuchiwała, czy nie ułowi szeptów. Cisza była głęboka, lecz jakby tam, pod baldachimem limby coś się spełniało...

Trwożna, zazdrością nagłą owładnięta, zerwała się z ławeczki i wybiegła z altany. Na świecie było jaśniej od gwiazd i srebrnego miesiąca. Poprzed oczyma Janki zarysowały się olbrzymie cienie gór jakby mistyczne zwidy, lecz urok ten nie wstrzymał jej na miejscu, jak to indziej bywało.

Ostrożnie przeszła pomiędzy opłotkami, kierując kroki w regle.

Bała się wejść w mrok lasu, jednak przemogła bojaźń. Przesuwała się między drzewami cicho, jak łania, wypatrując, kędy mógł siedzieć Jędrek.

Pierwszy raz teraz coś ją natchnęło błyskawicznie, że Jędrek nie może być niczyim, tylko ją musi kochać, bez względu, czy mu tę miłość odwzajemni... Na samo pomyślenie, że ktoś go może jej odebrać — dreszcz ją przechodził.

Coś rozpalało się jej w piersiach, pogięło ostatnie nitki, dzielące ich dotychczas. Każdy czyniony krok upiększał jego postać — czynił droższą, konieczniejszą. Nakaz ten szedł stanowczy, nieodfnięty.

Dążąca, pełna domysłów, wychyliła twarz z lasu, tuż naprost limby.

W pierwszym momencie uderzyła weń pustka i mocny zapach łąki.

Aż naraz...

Zoczyła go na trawie, leżącego na wznak, z rozkrzyżowanemi ramiony i serdakiem położonym popod głowę. Przy nim spoczęły skrzypki, tak unużone widać, jako i on. Obydwoje zdała się pieśń uciszyć.

Lniana koszula na jego piersiach była rozpięta, jak gdyby ciało spalone żarem szukało chłodu.

Leżał bez ruchu, z twarzą zwróconą w gwiaździste niebo, nie mogła jednak dojrzeć — zasnął, czy czuwa.

Odetchnęła głęboko, z widoczną ulgą i wsparła się o smreka.

— Jędruś... — zdało się zachybotać na jej rozchylonych wargach.

Nie wiedzieć, był li to szept, czy słodkie tchnienie duszy.

— Bedaku drogi — śpisz, czy marzysz o mnie? Jakiś ty piękny w tym bezwładzie, jak śpiący orzeł, co śni o słońcu... Jępruś! — szeptały te same wnętrzne usta.

I położyła dłoń na wargach, jakby tłumiła rodzące się wołania. Chciałaby krzyknąć jego imię i wybiec szczęsna do ust jego, jednak wstrzymała się co ledwie.

Chciała mu się napatrzeć, przyglądać jak najdłużej — taki był piękny na tej łące, w miesięcznym cieniu limby i tak ta chwila była słodka.

Tak się cieszyła tym obrazem, że zadreptała w miejscu płocho, niby mała uradowana dziewczynka.

Płoniła się, posyłała mu całusy, półbojaźliwa, szczęśliwa, przedziwnie błogą oblana falą.

Wonie storczyków podniecały jej zmysły i przynosiły z sobą podszepty pragnień nieokreślonych, a tak rozkosznych, jak najsłodszy sen.

Czuła wyraźnie, że spadająca rosa potrąca struny skrzypiec i poczyna balladę cichą, jak wiew motylich skrzydeł i tak świeżuchną, dyamentową, jak ta z powietrza mżąca rosa.

Zdawało jej się, że tworzy się legenda z tej czarodziejskiej nocy i uczuć ludzkich.

Wszystko, co jeszcze w więzach trzymało młodą miłość, zanikło w tej urodzie wiośnianych cudów, że obnażyła się wolna, pragnąca lotów i miraży.

I do tych krain najszczęśliwszych, bronionych strażą stugłowych wężów, dotarł teraz w momencie Jędrek i bój rozpoczął...

Tam, za wysokim murem zamku, była jego królewna, której niósł wolność. Nie mieczem, ale ciupagą, szałem miłości i utęsknienia - rozłał naokół cielska smoków i parł przebojem ku wymarzonej komnacie....

Przymknął źrenice, aby nie widzieć we krwi drgających ciał, by się nie cofnąć z trwogi i przerażenia, bo jeszcze krok, za tą żelazną ścianą — czeka na niego Szczęście...

Jeszcze krok jeden — —

Janka nie mogła wystać dłużej.

— Jędruś! — szepnęła głośniej i wypłynęła z lasku jak rusałka.

Jędrek wsparł się nagle na rękach i podniósł głowę pełen lęku. Nie wierzył uszom ani oczom — słyszał swe imię i naraz... jakaś srebrzysta postać...

Szła ku niemu po trawie, niby bogini nocy, niby ona królewna z zamku...

W miejsce lęku przykuło go zdumienie. Otwarł powieki jak mógł najszerzej, lgnąc wzrokiem do tej idącej zjawy.

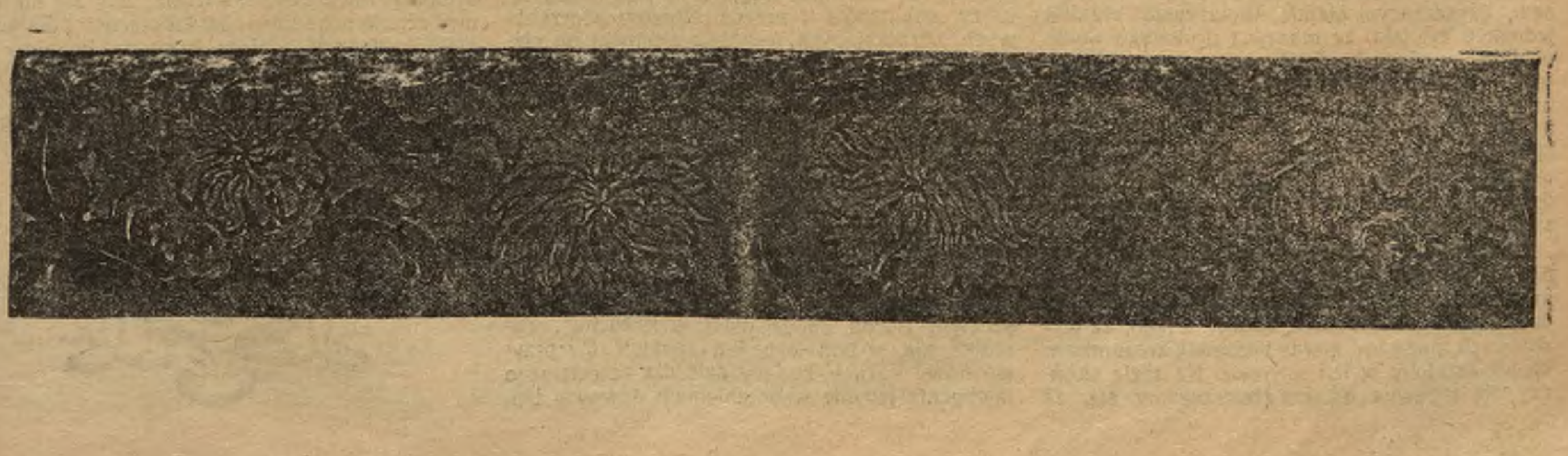
— Jędruś, to ja... nie poznałeś?...

Niebo się przed nim otworzyło —

Chciał skoczyć ku niej z okrzykiem szczęścia, ale ogromem zwaliło się na niego...

Nie zdołał nawet podnieść ramion, bo już w tej chwilce, jak wonny biały kwiat, Janka stanęła obok niego uszczęśliwiona, spragniona pieszczot, niepomna smutku i sieroctwa...

Otoczyło ją męskie ramię, mocne, jak życie i jak ta noc — miłosne.



Kronika tygodniowa.

Powoli wchodzimy w normalny tok życia codziennego, o ile je normalnem nazwać się godzi. Ze względu na karnawał krótszy w tym roku o całe dwa tygodnie od poprzedniego, polityka zeszła na drugi plan, ale pączki zato podrożały w tak obrzydliwy sposób, iż ani rusz pozwolić sobie na nie, zwłaszcza będąc inteligentem, pracującym umysłowo. Swoją drogą przyznać trzeba, że te karnawałowe specyały nie są jeszcze tak drogie, jak mogłyby być, skoro z pięciu centów za sztukę podskoczyły na dwieście marek, gdy natomiast pisma codzienne na tę samą kwotę z dawnych trzech centów. O urządzeniu sobie tak dawniej popularnych w tym czasie „pączków tańcujących" przeciętny burżuj nie może nawet myśleć, z trudnością przychodzi to także i robotnikom, jedynie wybranym jest paskarz lub lichwiarz, ten zazwyczaj je zjada sam, z bliźnim się nie dzieląc w obawie, aby mu nie zazdrościli.

Choć się zatem świat cały bawi, kronikarz, który dość dawno nie zajmował się polityką, musi sprzeniewierzyć się ogólnym zasadom i sięgnąć do politycznej beczki. Znajdujemy się obecnie w trakcie „naprawy Rzeczypospolitej", a niewdzięcznego tego zajęcia podjął się przedewszystkiem nowy prezydent ministrów, który, przekonawszy się o bezskuteczności szczepionek swego poprzednika, dra Nowaka, choć nie jest lekarzem z zawodu, postanowił chwycić się radykalnej kuracyi. Szczegóły jej omawiano przez czas świąt w Zakopanem, zapowiedzią jej są odezwy pana prezydenta, dokładny zaś obraz roztoczy on przed nami, wygłaszając swoje *exposé*, dopiero w dniu 16 stycznia, gdy kronika będzie już oddaną drukarni. Rozchodzi się głównie o to, aby proponowane przez jenerała Sikorskiego środki zaradcze były naprawdę radykalne, a nie połowiczne, nie trzeba być bowiem szewcem z zawodu, aby wiedzieć o tem, że ratowanie podartego buta przyszywaniem przyszczypków zda się nie na wiele.

Na razie oczy wszystkich zwrócone są na Warszawę, gdzie odbywa się *conclave* wszystkich byłych dotychczasowych ministrów skarbu, mające za zadanie uzdrowienie przedewszystkiem naszych finansów i ratowanie naszej nieszczęsnej marki, mimo młody wiek chorej na uwiąd starczy. Złożyło się zaś tak, że w chwili konferencyi nie posiadaliśmy czynnego ministra skarbu, Jastrzębski uważał za stosowne podać się do dymisyi, najprawdopodobniej z tego powodu, iż doszedł do przekonania, że poprzednika łatwo krytykować, trudniej jednak zabrać się w ten sposób do pracy, aby następcy nie mieli powodu do narzekań. Wiadomo zresztą, że krytykować coś i to nawet nieraz ze znawstwem przedmiotu, to rzecz łatwiejsza do przeprowadzenia, niż samo jej wykonanie, boć przecież swojego czasu szewc zwykły krytykował tak słynnego mistrza, jak Apelles, co bynajmniej nie wpłynęło na zerwanie stosunków między obu tymi zawodami, tak my mieliśmy sposobność przekonać się podczas ostatnich wyborów sejmowych, gdy mistrze pędzla i kopyta znaleźli się na jednej liście i podzielili ten sam los.

Skrytykował pan Jastrzębski w swej dziewiczej mowie swego poprzednika, wykazując wszystkie braki jego polityki finansowej, zapowiadając, że on dopiero będzie owym Herkulesem, czyszczącym stajnię Augiaszową, rezultat jednakże był taki, że maszyna drukarska tłukła w dalszym ciągu banknoty dniem i nocą, marka leciała na łeb, minister myślał o środkach ratunku i w końcu doszedł do przekonania, że jedynym jest podanie się do dymisyi. Jak pomyślał, tak uczynił i dzisiaj na zaproszenie jenerała Sikorskiego zasiada jako emeryt w gronie doświadczonych starców (trudno inaczej chyba zwać emerytów..).

Z tych posiedzeń mało mamy pewnych wiadomości, były bowiem poufne, finansiści zaś mają to do siebie, iż nie lubią zbyt wiele gadać, zdając sobie dobrze sprawę z tego, że wywody ich mogą być nieraz fałszywie zrozumiane, co nie leżałoby w ich interesie. Na razie skoń czy się zapewne na tem (zastrzegamy się, że nie jest to wiadomość oficyalna, lecz prywatna i to bez drutu od naszego „specyalnego sprawozdawcy"..., iż celem ułatwienia transakcyi handlowych, do których nie wystarczają już „lisy, tygrysy i słonie", puści się w obieg jed nostki o wyższej wartości, pomnażając w ten sposób liczbę okazów w naszej menażeryi skarbowej o jeden, rozchodzi się jedynie o to, jak się ma nazywać, „krokodyl" czy „tasiemiec". Będzie to mądre zarządzenie, gdyż dziś każdy, mający uskutecznić gdzieś wypłatę powyżej miliona, musiał gotówkę nieść we worku, nie wiele korzyści przyniosą zaś mające się pojawić znaczki monetarne po sto i dwieście marek, skoro za nie nic właściwie nie kupi. Również wenty lowano na zjeździe byłych ministrów projekt rozdzielenia dotychczasowego ministerstwa skarbu na dwa równorzędne, które podzieliłyby między siebie dotychczasowe atrybucye. Pomysł ten przyjęty został z uznaniem przez wszystkie stronnictwa, mające dość kandydatów na obsadzenie foteli ministeryalnych, choćby ich było nawet i czterdzieści, jak jednak odbiłoby się to na interesach państwa, może sobie wyobrazić chyba Krakowianin, mający do załatwienia jakąś sprawę w policyi, a nie wiedzący, czy należy ona do kompetencyi urzędu przy ulicy Krupniczej, Siemiradzkiego, czy też Kanoniczej, nie mówiąc już o komisaryatach, co, dając sposobność ruchu, dobrze wpływa na zdrowie, ale stanowczo gorzej odbija się na podeszwach.

Jeśli w samej rzeczy dojdzie do tej bifurkacyi, będzie na porządku dziennym, że pan minister skarbu, otrzymawszy w swe ręce jakąś sprawę, która nie będzie mu się podobać, orzeknie że nie należy ona do jego zakresu działania, winna zatem być odesłaną do kolegi ministra, nazywającego się, dajmy na to, finansów. A ten, rozglądnąwszy się w sprawie, dojdzie do zupełnie tego samego przekonania, co i tamten pan i każe ją odesłać jemu z powrotem. Potem spotkają się obaj i będą starali się wzajemnie przekonać, a gdy to się nie uda, będzie się musiało odesłać sprawę do komisyi rzeczoznawców, która wyda swą opinię fachową, oczywiście nie spiesząc się, na czem najlepiej wyjdzie sama sprawa, gdyż tymczasem spadnie z porządku dziennego.

Do soboty ubiegłego tygodnia spotykaliśmy się w pismach warszawskich tylko z luźnemi notatkami, donoszącemi ogółowi, że emeryci ministrowie radzą, że komisya redakcyjna, wybrana z ich łona, formułuje ich wnioski, że jedzą obiady i kolacye, chodzą do teatru itd., o ostatecznym rezultacie zjazdu dowiemy się zapewne dopiero w tym tygodniu, wobec czego kronikarz zająć się może tą sprawą w następnym.

Najważniejszy z punktów programu zjazdowego, t. j. projekt sanacyi naszych finansów, umieszczono na samym końcu, jak się zdaje, z wielką dla niego szkodą, gdyż tymczasem wyczerpie się energia uczestników.

Konferencye i zjazdy są teraz w modzie, prawie wszystkie pozostają bez rezultatu, tej należałoby życzyć, aby wydała jak najlepsze owoce, gdyż atmosfera finansowa staje się coraz cięższą.

Zato atmosfera w ścisłem tego słowa znaczeniu jest dość znośną i nie odnosimy bynajmniej wrażenia, choć styczeń się kończy, że to zima. Narazie nikt na to nie narzeka, z biedą można się obejść bez opalania mieszkań, w budżecie domowym stanowi to niełada rubrykę, jeśli się zważy, że cetnar metryczny węgli dochodzi już do dziesięciu tysięcy marek. Czy to jednak w dalszym ciągu nie będzie miało przykrych następstw, to dopiero przyszłość pokaże, gdy z nastaniem prawdziwej wiosny zaczną z pod ziemi wyłazić najrozmaitsze bakcyle chorobotwórcze na zmartwienie fizykatu miejskiego, a na pociechę aptekarzy, eskulapów i przedsiębiorców pogrzebowych, narzekających wspólnie z innymi na ciężkie czasy i podnoszących z tego powodu ustawicznie ceny. Przeciętnemu śmiertelnikowi nie wystarczają dochody na życie, ale też nie może sobie pozwolić także na przeniesienie się do wieczności przy użyciu zwykłego dawniej ceremoniału. Przywykliśmy do tego, że w styczniu mieliśmy zwykle siarczyste mrozy, co wpływało podniecająco na ochotę karnawałową, obecnie bez większej szkody dla zdrowia można rok cały paradować w zazutce w myśl przysłowia: „Do Świętego Ducha nie zdejmuj kożucha, a po Świętym Duchu chodź dalej w kożuchu". Zazutka ma w tym wypadku zastąpić ów przysłowiowy kożuch, będący dziś dla przeciętnego inteligenta jedynie wspomnieniem dawnych lepszych czasów. Widzimy wprawdzie kręcących się po mieście szczęśliwców, przystrojonych we wspaniałe „jestotry", ale to nie ludzie, lecz paskarze lub lichwiarze. Tym razem metereologowie się nie pomylili, zapowiadając lekką zimę, daj Bóg, aby sprawdziła się druga część ich obietnic, to jest, że wiosna już za pasem, choć z drugiej znów strony aż się słabo robi na samą myśl, że wraz z wiosną zbliża się także i przednówek, a łatwo można sobie wyobrazić, jak się on nam wszystkim da we znaki, skoro czasy, bezpośrednio po żniwach następujące i to po żniwach pomyślnych, przypominały lata klęski głodowej. Jest wprawdzie zboże, ale tylko na wywóz, pan minister rolnictwa obliczył, że można się pozbyć bez szkody dla ludności czterdziestu tysięcy wagonów, co ma rzekomo wpłynąć na poprawę naszych stosunków ekonomicznych. Obżarstwo jest grzechem, niechaj zatem idą na pokpienie nasi sąsiedzi, gdy my tymczasem z lekkimi żołądkami tem łatwiej zdobędziemy sobie wiekuistą szczęśliwość.

Z racyi zbliżającego się przednowku zadał ktoś kronikarzowi pytanie, ile w czerwcu kosztować będzie centowa bułka, kilo chleba lub mięsa. Przez cały tydzień łamał sobie głowę nad rozwiązaniem tego problemu, pokazało się jednak, że nie obejdzie się przy tych obliczeniach bez wyższej matematyki, a nie można także stosować zasad rachunku prawdopodobieństwa, bo nie wiadomo, na czem się właściwie oprzeć, gdy rzeźnicy i piekarze teraz już dwa razy tygodniowo podają władzom nowe, coraz wyższe cenniki do zatwierdzenia. W piątek ubiegłego tygodnia zapłacił kronikarz za ćwierć funta kiełbasy 850 Mp. Uwagi żadnej sprzedającemu kupujący robić nie może, gdyż usłyszałby propozycyę, aby, skoro ma ochotę, jadł taryfę maksymalną, co, jak wiadomo, nie wyszłoby mu na zdrowie. Słyszy się wprawdzie ciągłe nawoływania, aby ogół poparł władze i zawiadamiał je o każdym wypadku samowolnego przekroczenia taryfy przez sprzedających, są to jednak pobożne życzenia, gdyż ogół się nigdy na to nie zdobędzie, a te jednostki, które odważyłyby się na czyn podobny, naraziłyby się na śmierć głodową, nikt bowiem nie sprzedałby im nic.

Podobnie twardego serca wobec swych klientów, jak rzeźnicy i piekarze i podobnie nic sobie nie robiącymi z wszelkich zarządzeń władz są krakowscy panowie dorożkarze, mający wprawdzie taryfę, ale się jej zupełnie nie trzymający. Poruszył ktoś myśl, aby urządzić wielki międzynarodowy konkurs z licznemi nagrodami w artykułach spożywczych, przedmiotach służących do ubrania i podobnych dla tych, którzyby wynaleźli fiakra, godzącego się na jazdę według zatwierdzonej taryfy. Inicyator konkursu zobowiązał się własnym kosztem dostarczyć nagrody, dodając, że nie wyda na to ani feniga, gdyż takiego dorożkarza, choćby szukał z lampą elektryczną o sile miliona świec, nie znajdzie. Podobnie jak rzeźnik i piekarz, proponujący klientowi jedzenie taryfy maksymalnej, proponuje on przejechanie się nią, zasługuje zatem w pełnej mierze, aby kronikarz przejechał się po nim, skoro władza odpowiednia uczynić tego nie chce lub nie umie.

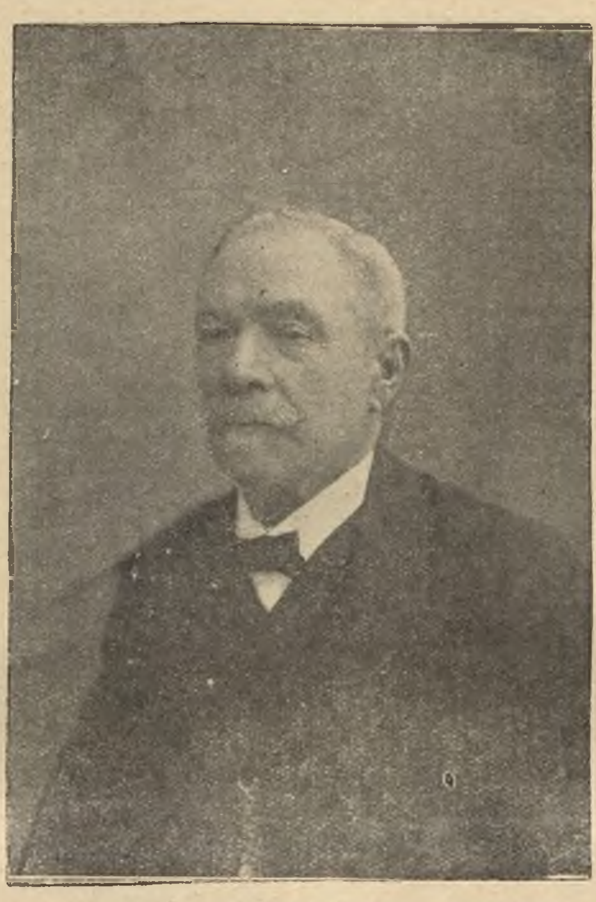
Równorzędnie z podniesieniem się temperatury atmosferycznej podnosi się i polityczna. W Europie robi się coraz cieplej od chwili zerwania rokowań w Paryżu, gdzie nie doszło do porozumienia między Anglią i Francyą w sprawie odszkodowań niemieckich. Następstwem tego była okupacya części terytoryum niemieckiego przez Francuzów, a niewątpliwie w związku z tem stoi atak Litwy kowieńskiej na Kłajpedę, zostającą pod opieką Francyi. Zbyt dobrze znane są sympatye niemiecko litewskie, aby się nie domyśleć, kto pcha Litwinów ku piecowi i dla kogo mają wyjmować z niego kasztany. Dodajmy do tego przygotowania do nowej wojny grecko-tureckiej, a przekonamy się, że Europie grozi poważnie wybuch wulkanów wprawdzie nie geologicznych, ale bardziej od nich niebezpiecznych.



Zgon zasłużonego działacza: Ś. p. prof. dr. Tadeusz Pilat.

Ostatni rok 1922 zaznaczył się żywszem tętnem pracy w kronice Towarzystwa. Nowy prezes Tow. prof. Karol Stach energiczną rozwinął pracę w ostatnim Wydziale Tow. Kiedy z wiosną roku zeszłego obejmował zaszczytną, lecz mozolną godność prezesa Towarzystwa, kasa Towarzystwa liczyła 75.000 Mk, gdy na utrzymanie kolonii potrzeba było kilku milionów. Zdołał to przezwyciężyć i kolonii ostatniej zabezpieczyć byt na pełny sezon wakacyjny, w którym uczniowie koloniści przy 5-ciokrotnem dziennem sytem odżywianiu, licznych rozrywkach, zabawach i zajęciach wakacyjnych, licznych górskich wycieczkach, kąpieli rzecznej, zdołali z wakacyi wywieźć pokrzepienie nie tylko w dziedzinie fizycznego dobra, ale i moralnego, żyjąc i krzepiąc swe siły w atmosferze niemal rodzinnej.

Do wewnętrznego wyglądu kolonii i jej urządzeń walnie przyczynił się obecny wiceprezes Tow. kolon. dr. Jan Frączkiewicz, za staraniem którego Towarzystwo kolonii otrzymało bogaty inwentarz, wartości dziś kilku milionów, w skład którego wchodzą piękne obrazy, przyozdabiające ściany budynku kolonii, liczne zabawy, naczynia kuchenne, szafy, słoiki itp. Z członków ostatniego Wydziału — obok zapobiegliwego gospodarza prof. dra Weinera i miejscowych gospodarzy ks. kanonika J. Głuca i nadleśniczego p. T. Świerza, wymienić należy krakowskiego mecenasa dra Władysława Ekierta,



Z żałobnej karty naszego szkolnictwa: Śp. Roman Vimpeller, b. dyrektor Seminaryum Nauczycielskiego Żeńskiego w Krakowie

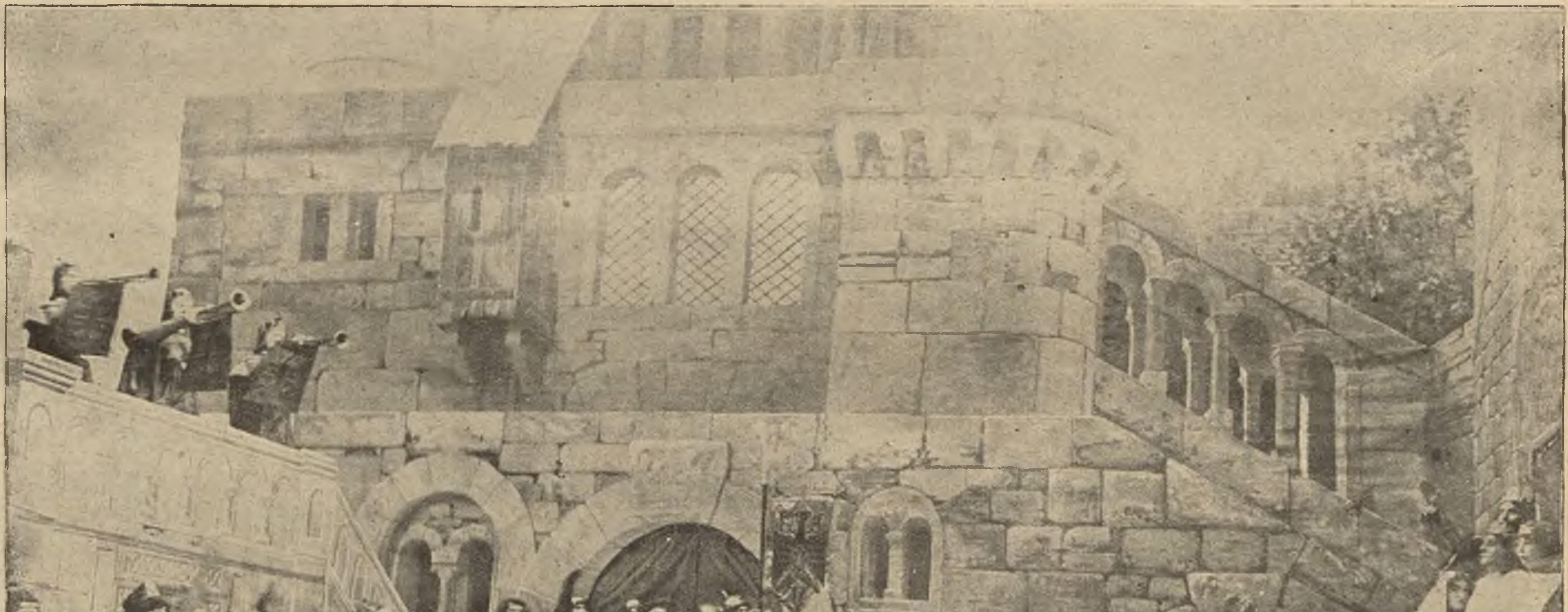
który obok szczęśliwie i skutecznie przeprowadzonych transakcyi na rzecz Towarzystwa, nie omija żadnej sposobności, by Towarzystwu przysporzyć członków. Z różnych źródeł płyną dochody Towarzystwa, mimo to wszystkie te ofiary są za małe, aby wystarczyć mogły na zabezpieczenie bytu kolonii. Dlatego Towarzystwo pracą swych członków i pracą specyalnych komitetów rokrocznie uciekać się musi do pewnego rodzaju ryzykownych przedsiębiorstw, aby tylko spełnić swe zadanie i we właściwym terminie otworzyć sezon kolonii wakacyjnej. I teraz nadarza się taka sposobność. Towarzystwo kolonii ma nie tylko obowiązek zaaprowizowania kolonii, ale nadto odnowienia swej monumentalnej kolonii w Porębie Wielkiej, która w ostatnim czasie, skutkiem wichrów i śniegów górskich mocno ucierpiała. Na to trzeba milionów marek! Społeczeństwo, czułe o przyszłość fizyczną i moralną młodzieży, nie odmówi Towarzystwu kolonii poparcia. Nadarza się ku temu sposobność: Dn. 4-tego lutego urządza Tow. pod protektoratem ks. K. Lubomirskiej i prez. Ak. Um. Kazimierza Morawskiego tradycyjny bal na cele kolonii wakacyjnej r. 1923, tej kolonii, która w 20-lecie istnienia Towarzystwa powinna mieścić w swych murach nie dziesiątki, lecz setki uczniów, potrzebujących wypoczynku, rozrywek i dostatecznego odżywiania.

W bieżącym roku przypada 20-lecie istnienia tej humanitarnej instytucyi. Na ten czas — gdzieś z końcem lipca, zjadą do Poręby Wielkiej byli wychowankowie kolonii, w liczbie może kilkuset, dziś na wysokich nieraz stanowiskach w służbie Rzeczypospolitej. Zjadą się ze wszystkich stron Polski, aby odświeżyć swe wspomnienia, przeżycia i przyjaźnie z lat młodych. Niechże wiedzą dalej i dowiedzą się, że społeczeństwo rozumie, że odrodzenie narodu zacznie się od tego najwyższego skarbu, jakim jest: młodzież.

Obserwator-kolonista.



Zerwanie konferencyi paryskiej: Delegacya angielska opuszcza pałac obrad. W pośrodku Bonar Law.



„Lohengrin" w teatrze lwowskim: Scena z II. aktu.

Zgon zasłużonego działacza.

We Lwowie zmarł w 79 roku życia dr. Tadeusz Pilat, profesor statystyki i administracyi na Uniwersytecie lwowskim.

Wychowanek gimnazyum i Uniwersytetu we Lwowie, uzyskał w roku 1867 tytuł doktora praw, w następnym roku habilitował się na Uniwersytecie lwowskim. W roku 1872 wysłany na praktykę do berlińskiego biura statystycznego, wraca po dwóch latach i obejmuje kierownictwo urządzonego przez siebie biura statystycznego w Wydziale Krajowym, na którem to stanowisku pozostaje do roku 1920. W roku 1887 zostaje posłem na Sejm galicyjski, a w roku 1886 piastuje godność rektora Uniwersytetu.

Ś. p. Pilat brał żywy udział w pracach Sejmu galicyjskiego i był członkiem Wydziału Krajowego. W tym charakterze, pod nieobecność marszałka i wicemarszałka Sejmu zastępował marszałka w Wydziale Krajowym. Pozatem na stanowisku wiceprezesa Towarzystwa gospodarskiego, członka Rady Macierzy Polskiej i wielu innych instytucyi brał ś. p. T. Pilat także żywy udział w życiu społecznem. Zmarły pozostawił większą spuściznę naukową, obejmującą kilkadziesiąt dzieł fachowych tak w polskim, jakoteż w niemieckim języku, nadto mnóstwo artykułów w czasopismach fachowych.

„Lohengrin“ w teatrze lwowskim.

Teatr lwowski dokonał jak na czasy powojenne wielkiego przedsięwzięcia, ponownie wprowadzając „Lohengrina“ na scenę. Już od dłuższego czasu dyrekcya teatru lwowskiego nosiła się z tym zamiarem, lecz trudności natury technicznej i finansowej (sprawienie kosztownych kostyumów) zniewoliły ją do odłożenia tego planu na bieżący sezon. I dobrze, że się tak stało, bo wielkie dzieło Wagnera zdołano wystawić z należytym pietyzmem, wpłynąć na artystyczny poziom całego przedstawienia. Dano całemu zespołowi śpiewackiemu dostateczną możność do należytego przygotowania i wniknięcia w trudny styl wagnerowski, nie szczędzono żadnych ofiar materyalnych na sprawienie stylowych kostyumów, tak dla artystów-solistów jak i mas chóralnych (zbroje rycerzy), kapelmistrzowi dano cały aparat sceniczny do dyspozycyi i przy odpowiedniej ilości prób solowych i zespołowych uzyskano jednolite, możliwie doskonałe przedstawienie, którego poziom artystyczny w głównych zarysach dorównał owemu z lat przedwojennych, kiedyto opera lwowska nie tylko była pierwszą w Polsce ale i za granicą uzyskała odpowiednie uznanie.

Wznowienie „Lohengrina“ dało dowody, do jakich wyżyn artystycznych opera lwowska może się wznieść, jeśli istnieje dobra chęć i szczery zapał u wykonawców. Wagnerowskie dzieła wogóle przedstawiają trudny do rozwiązania problem dla reżyseryi. Ciężkie zadanie ma zwłaszcza reżyserya z masami chóralnemi, które w „Tannhäuserze“ i „Lohengrinie“ biorą udział w akcyi, prawie w duchu antycznego dramatu. Tu doświadczona ręka reżyserska p. Okońskiego bardzo wiele zdziałała; ugrupowanie i ruchy tych mas chóralnych, zarówno w pierwszym akcie (podczas zbliżania się Lohengrina) jakoteż podczas wielkiego pochodu ślubnego w akcie drugim świadczyły, że biorą udział w akcyi i temsamem wielce się przyczyniły do ożywienia obrazu scenicznego.

Wznowienie „Lohengrina“ to wielki czyn artystyczny lwowskiego teatru, który spotkał się z ogólnem zasłużonem uznaniem zarówno ze strony publiczności jak i fachowej prasy.

Z żałobnej karty naszego szkolnictwa.

W ubiegłym tygodniu odprowadził Kraków na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ogólnie poważanego i cenionego w naszem mieście byłego dyrektora Seminaryum Nauczycielskiego Żeńskiego, ś. p. Romana Vimpellera.

Urodzony w r. 1840. w Godowej pod Rzeszowem, po odbyciu studyów w Jaśle i Krakowie zapisał się na Wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, następnie na Uniwersytet wiedeński skąd powróciwszy do kraju, poświęcił się karyerze pedagogicznej, pełniąc od r. 1864. obowiązki profesora gimnazyalnego kolejno w Bochni, Krakowie i Tarnowie. Zamianowany w r. 1880. inspektorem szkół powiatu tarnowskiego, pracował owocnie na tem stanowisku lat kilka, to jest do powołania go na dyrektora Seminaryum Nauczycielskiego Męskiego w Rzeszowie, gdzie pozostawał do r. 1896. W tym roku objął kierownictwo krakowskiego Seminaryum Nauczycielskiego Żeńskiego, które prowadził aż do przejścia w stan spoczynku, tutaj



Groźne chmury na Bliskim Wschodzie: Król grecki Jerzy II. (x) w towarzystwie członków rządu rewolucyjnego z pułk. Gonatasem (xx) i jen. Negropontesem (xxx) podczas parady wojskowej ku uczczeniu rocznicy wkroczenia Francuzów na Akropolis w r 1821.



Echa podróży marszałka Joffre'a do Japonii: Bankiet na cześć francuskiego gościa w Kioto.

obchodził także w r. 1913. półwiekowy jubileusz swej pracy pedagogicznej. I po przejściu na emeryturę ze szkolnictwem nie zerwał, przewodnicząc prawie corocznie przy egzaminach dojrzałości jako komisarz rządowy w prywatnem Seminaryum Żeńskiem T. S. L. im. Preisendanza w Krakowie.

Na wszystkich tych stanowiskach rozwinął ś. p. dyr. Vimpeller bardzo owocną działalność naukową i pedagogiczną, zasługi jego około rozwoju zwłaszcza szkolnictwa ludowego w naszym kraju spotykały się też zawsze z należytem uznaniem. W sercach swych uczniów i uczenic pozostawił po sobie Zmarły wdzięczne wspomnienie gorliwego i sumiennego wychowawcy i prawdziwego opiekuna powierzonej jego pieczy młodzieży.

Echa podróży marsz. Joffre'a do Japonii.

Marszałek francuski Joffre, zwycięzca z nad Marny, odbył w roku ubiegłym, jak już w swoim czasie wspominaliśmy, podróż na Daleki Wschód. Miała to być podróż dla przyjemności i wypoczynku po kilku ciężkich latach wojennych, nie była jednak pozbawioną pewnego politycznego charakteru, celem jej było mianowicie wzmocnienie stosunków łączących Francyę ze Wschodem.

Zwłaszcza w Japonii, gdzie się dłuższy czas zatrzymał, był marszałek wyróżnianym na każdym kroku tak przez sfery oficyalne, jak i ogół mieszkańców. W całym szeregu miast przyjmowano go owacyjnie, przedewszystkiem zaś w Kioto, skąd pochodzi właśnie zamieszczona obok fotografia z bankietu, wydanego na cześć francuskiego gościa przez tamtejsze sfery wojskowe.

Groźne chmury na Bliskim Wschodzie.

Konferencye i zjazdy, urządzane obecnie tak często, nie mają szczęścia. Ostatnia z nich w Paryżu spełzła na niczem, lozańska odbywa się wprawdzie w dalszym ciągu, ale wiadomości, jakie stamtąd nadchodzą, nie rokują bynajmniej, aby rezultat jej miał być korzystny dla utrzymania światowego pokoju. Chwilami wydawało się, że dyplomacy koalicyjnej uda się doprowadzić do porozumienia między obu wojującemi stronami, obecny stan rzeczy pokazuje jednak, że jest zupełnie przeciwnie. W Lozannie spierają się ze sobą przedstawiciele Grecyi i Turcyi o lada drobnostkę, a tymczasem armia grecka skoncentrowała się w Tracyi i wedle niesprawdzonych dotąd telegramów zająć miała Adryanopol i Karagacz. Protest Francyi pozostał podobno bez skutku, komendant grecki oświadczył przedstawicielowi Francyi, że przyjmuje go do wiadomości, ale musi działać w myśl otrzymanych rozkazów. Także i Turcya przewozi silne oddziały wojsk na ląd europejski.

W Atenach doszło widocznie do zgody między królem Jerzym a rządem rewolucyjnym, skoro młody władca Hellenów wziął udział w paradzie wojskowej ku uczczeniu rocznicy wkroczenia na Akropolis francuskiego pułkownika Fabviera w r. 1821.

Gdy Grecya stoi dziś w przededniu nowej wojny z Turcyą, w Palermo zmarł na krwotok mózgowy były król Konstantyn, właściwy sprawca obecnego zamieszania na Bałkanie. Rząd grecki odmówił pozwolenia pochowania zwłok zmarłego w Grecyi.



Groźne chmury na Bliskim Wschodzie: Zdetronizowany król grecki Konstantyn, zmarły w ubiegłym tygodniu w Palermo.

Zerwanie konferencyi paryskiej.

Wyczerpała się wreszcie cierpliwość Francyi w stosunku do Niemiec, uchylających się wszelkiemi sposobami od płacenia odszkodowań. Rząd francuski przystąpił do okupacyi zagłębia Ruhry, aby temi represyjnemi środkami zmusić Niemców do wypełnienia przyjętych w traktacie wersalskim zobowiązań. Trzeba przyznać, że Francya okazywała dotychczas bardzo wielką ustępliwość, o czem świadczy wymownie przebieg konferencyi, zwoływanych w sprawie odszkodowań. Ostatnią w tym kierunku próbą była konferencya paryska, która odbyła się w kilka tygodni po nieudaniu się konferencyi londyńskiej.

Narady w Londynie zakończyły się dwoma „wynikami". Pierwszym z nich było niezgodzenie się Anglii na okupacyę Ruhry, czem groziła bardzo stanowczo Francya, drugim odrzucenie planu odszkodowań, wypracowanego przez rząd niemiecki po linii znanych dążeń niemieckich, a więc moratoryum, pożyczki zagranicznej dla Niemiec i zredukowania długów niemieckich. Opinia polityczna znajdowała się wówczas w niemałym kłopocie, czy określić „wynik" ten jako klęskę Francyi z powodu odrzucenia okupacyi Ruhry, czy też jako jej zwycięstwo z powodu odrzucenia jednomyślnego przez sprzymierzonych planu niemieckiego. Rozstrzygnąć miał o tem wynik konferencyi paryskiej.

Jednakże przedłożone na niej cztery plany: francuski, angielski, włoski i niemiecki różniły się ze sobą tak zasadniczo, że nie zdołano znaleźć formuły porozumienia. Ogromnie daleko — nawet w uwzględnieniu dotychczasowej polityki angielskiej — idący Niemcom na rękę plan gabinetu Bonar Law'a, redukujący sumę odszkodowań do sumy 30 miliardów w złocie, kasujący w istocie komisyę odszkodowań, przewidujący moratoryum dla Niemiec na przeciąg lat czterech, odrzucający ścisłą kontrolę nad finansami niemieckimi oraz wszelkie zastawy, nie mógł z góry liczyć na przyjęcie przez Francyę, a wywołał oburzenie we Włoszech, które zbliżyły się do stanowiska Francyi i Belgii, wycofując swój własny plan, przewidujący zresztą również kontrolę i zastawy. Stanowisko Francyi, ujęte w planie przedłożonym przez Poincaré'go, pozostało naogół bez zmiany: ścisła kontrola finansowa, ewentualnie moratoryum dwuletnie wzamian za zastawy, w razie uchylenia się Niemiec od spełnienia zawartych w planie francuskim zobowiązań, okupacya okręgu Ruhry z miastami Essen i Bochum.



Zerwanie konferencyi paryskiej: Delegacya belgijska na schodach pałacu obrad.

Na zewnątrz pozostała więc sytuacya w sprawie odszkodowań właściwie niezmieniona. Przeciwieństwa francusko-angielskie pozostały w całej pełni, żadna strona nie ustąpiła w istocie ze swego programu zasadniczego. Uczestnicy konferencyi paryskiej rozjechali się, nie osiągnąwszy porozumienia, a jedynym jej dodatnim wynikiem było odrzucenie planu angielskiego nie tylko przez Francyę, ale także przez Belgię i Włochy. W ten sposób Anglia w swej polityce germanofilskiej została zupełnie odosobniona, a Francya, zyskawszy poparcie Włoch, zdecydowała się wreszcie złamać opór Niemiec represyami militarnemi w Nadrenii.



„Zawody Kościuszkowskie" w Sokole podgórskim: Grupa nagrodzonych uczestników zawodów. Siedzą vice-prezes prof. Władysław Mossoczy i naczelnik Sokoła Kasper Nowak.

„Zawody Kościuszkowskie"
w Sokole podgórskim.

Doroczne gimnastyczne „Zawody Kościuszkowski" w Sokole, Kraków II. na Podgórzu odbyły się w ciągu miesiąca września u. r. Zawody, do których stanęło 12 druhów, obejmowały 20 rodzajów ćwiczeń na przyrządach, nadto zapasy, skoki, rzuty, bieg, pływanie i strzelanie. Zawodami kierował naczelnik gniazda druh Kasper Nowak. Najwięcej punktów zdobyli druhowie: Nowak Stanisław (95 punktów) Nowak Mieczysław (91½), Plebańczyk Maryan (75), Bularz Zygmunt (72), Wagner Bolesław (63) i Bala Bolesław (45½). Uroczyste rozdanie nagród odbyło się dnia 30. grudnia u. r. podczas wspólnego Opłatka, który zgromadził liczny zastęp sokolej drużyny podgórskiej i krakowskiej. Nagrody w postaci odznak honorowych wykonanych bezinteresownie w fabryce wyrobów metalowych druha Ksawerego Kowalkowskiego, oraz wspólne fotografie wręczył zwycięzcom prezes Sokoła, W. Wodzinowski. Uroczystość uświetnił i zebranie uprzyjemnił chór sokoli i orkiestra amatorska wykonaniem naszych staropolskich kolęd.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył A. Madejski, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę pewnej miejscowości, stanowiącej jabłko niezgody między Polską a jej sąsiadami.

```
      ■
    — ■ —
  — — ■ — —
  — — ■ — —
  — — ■ — —
  — — ■ — —
    — ■ —
      ■
```

Znaczenie wyrazów. 1) Spółgłoska; 2) polskie nazwisko szlacheckie; 3) przyrząd sportowy; 4) miasto we wschodniej Małopolsce; 5) pismo św. u Turków; 6) miasto w Rosyi; 7) wehikuł; 8) dopływ Dunaju; 9) samogłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Balicki, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym.

```
a a c c
d e e g
h h l n
n o o t
```

Znaczenie wyrazów 1) Mityczna postać z dziejów Polski; 2) imię męskie; 3) wyrażenie muzyczne (z włoskiego) 4) imię męskie ruskie.

Okienko.

Ułożył Z. Grodzki, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a a a a
a   a   a
b d k k l
l   n   n
o o r r w
```

Znaczenie wyrazów. 1) Znane z naszych dziejów pobojowisko; 2) postać z „Pana Tadeusza"; 3) urzędnik hiszpański.

Logogryf.

Ułożył B. M., Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko osobistości, zmarłej niedawno tragiczną śmiercią.

```
        ■
      — ■ —
        ■
      — ■ —
    — — ■ —
    — — ■ — —
    — — ■ — —
    — — ■ — —
    — — ■ — —
  — — — ■ — — —
```

Znaczenie wyrazów. 1) Spółgłoska; 2) dopływ Wisły; 3) spółgłoska; 4) członek rodziny; 5) jeden z polskich polityków; 6) miasto we wschodniej Małopolsce; 7) przyrząd sportowy; 8) rodzaj gleby; 9) zdrobniałe imię męskie; 10) narodowość kaukaska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył L. G., Lwów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a c g
ł n n n
n o o u
u x y y
```

Znaczenie wyrazów 1) Niemiecki mąż stanu; 2) gatunek wojska; 2). węgierski wyraz spotykany „często w nazwach geograficznych; 4) rzadki minerał.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożyła M. K., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwę zabawy, stanowiącej *clou* krakowskiego karnawału.

— ota
— raw
— oki
— ral
— oga
— dam
— ora
— ada
— mor
— oła
— ard

Grzebieniówka.

Ułożył S. Bielski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko człowieka, któremu współczesne Włochy mają wiele do zawdzięczenia

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów 1) Inaczej widziadło; 2) dopływ Wisły; 3) szlachetny kamień; 4) duchowny muzułmański; 5) imię męskie.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza Redakcya dwie nagrody: A. Gruszecki „Pod czerwonym Wirchem" i Kalendarz ścienny na rok 1923.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.